(Nro 97.)

ROZMAITOSCI.

We Czwartek Nro. 49. 28. Kwietnia 1819.

Bytność Boga.

(*Przez Konstantego Steckiego.*)

Czem iest ten gmach okazały?
Czem są wody, góry, skały?
Jeżeli nie Boskim tworem?
I wielkości Jego wzorem?

Płaszcz się ty nędzne stworzenie,
Twóy byt, twoie tchnienie;
Wszechwładney ręki są płodem,
I Jey wielkości dowodem.

Władco od ludzi wyrodny,
Twardy, okrutny, niegodny,
Tyranie w okręgu swiata,
Nie udręczay twego brata.

Wiedz że sądy sprawiedliwe
Wysłuchaiąc płacze tkliwe;
W okropne biorą wymiary,
Nie słuszney nędzy ciężary.

Zdrayco w zamysłach skryty,
Bogaczu zbiorów nie syty;
Oszczerco iadem miotany,
Wiedz, znay, iż iest Pan nad Pany.

Wreszcie i ty libertynie,
Co twóy ięzyk z bluznierstw słynie,
Grotem natury rażony,
Poznasz od kogoś stworzony.

Ludwika,

czyli:

Skutki złego wychowania.

(*Dokończenie.*)

Zniknęły pierwsze omamienia miłosnych zapałów; wkrótce Ludwika postradała rodziców, a toaleta musiała ustąpić żałobie. Ta oczewiście długo trwać nie mogła. Córka zapomniała swoiey straty, małżonce sprzykrzyły się pieszczoty, a z końcem czarney osłony obudziła się dawna skłonność, tem gwałtowniey, że na chwilę powściąganą bydź musiała; podobnie iak żar tleiący w popiele, w iasne wybucha płomienie, kiedy wolne zawieie powietrze. — W tylu miesiącach stroie Ludwiki wyszły iuż z mody, wszystko się zestarzało, niepodobna było ie nosić. Wynurzyła to mężowi. Z uprzedzaiącą dobrocią i uprzeymością wypełnił wszystkie iey życzenia. Nie źle idzie, pomyślała sobie i niepohamowaney żądzy wolne puściła cugle. Któż zdoła opisać szalone iey zbytki, kiedy poczuła, że iest własną panią? wszelka wytworność przepychu i mody, iaką tylko naynowsze żurnale głosiły, nie była dla niey dostateczną. Wśród zgiełku nieskończonych zabaw, trawiła dnie i nocy, a zbyt powolny małżonek, którego smutek samotnie pożerał, wtenczas tylko wiedział, że żonę posiada, gdy korneciarki, fryzyery i kupcy po zapłatę przychodzili. W domu panował nieład, wydatki maiątek niszczyły. Okropną przyszłość przewidywał Karol. — Raz, gdy pogrążony w smutku dumał nad swoiem nieszczęściem, a łzy zgryzoty twarz iego rosiły, weszła Ludwika, a widząc go w takim stanie, pytała o przyczyny tey zmiany. Wzbraniał się na chwilę, na koniec użalał się i łagodnie czynił iey wyrzuty, których nie mógł przytłumić. Lecz właśnie naydotkliwszą poruszył stronę. Poczęła huczeć, a cudnym i silnym odgłosem napełniaiąc pokoie, podobna była lirze Orfeusza; z tą atoli różnicą, że ta i w nieżywe stworzenia niegdyś ruch wlewała, owa zaś żywe nieruchomemi czyniła. Podług iey zdania, miała zupełną słuszność: „Przecież się, mówiła, na posmiewisko nie mogę wystawiać. I ta i owa stroi się dowoli, a ia na wyższym od nich stopniu, mam chodzić iak zakonnica? Kiedyś nie mógł żonę uczciwie utrzymać, po coześ się żenił. Rób sobie co chcesz, ia się powinnam dobrze ubierać, i będę się ubierać. Tego ieszcze niestawało, żebym z siebie straszydło robiła.“ Trzasła drzwiami i odeszła. Mąż uyrzał głowę Meduzy i skamieniał.

Tą sceną żywo dotknięty Karol, myślał o sposobach zapobieżenia złemu, póki go iescze zupełnie nie zniszczy. Wszelako niezgasłe dotąd przywiązanie, ułagodziło roziątrzone serce. Tuszył sobie nadzieią, że może imie matki odmieni iey sposób myślenia, może głos natury nieszczęsny nałog przemoże. Z utęsknieniem czułego oyca oczekiwał tey piękney chwili. Nadeszła i — nie zmieniła Ludwiki. Obcemi iey były obowiązki macierzyńskie, bo nie znała czułości. Nieobchodziło ią własne dziecię, a kiedy biedne to niemowle wrzaskiem na nieczułość matki żalić się zdawało, kazała go do sieni wynosić. Dręczył się tym widokiem nieszczęśliwy mąż i oyciec. Nakoniec widząc, że ani czas, ani iego łagodność, ani napomnienia, ani żadne wreszcie stosunki naymnieyszego nie odnoszą skutku, postanowił użyć surowości. Dla tey, która zgryzotę męża lekce sobie ważąc, swiętych obowiązków matki przy swoich stroiach zapominać mogła, naysurowsze postępowanie było łagodnem. Poznała wkrótce, kto iest Panem w domu, gdy widziała, iak się iey wolność ze wszystkich stron ścieśnia. Bezwzględnie uskuteczniał Karol swoie przedsięwzięcie. Kazał posprzedawać zbyteczne czupiradła, a Jeymość w skromnym czypeczku musiała siedzieć w domu. Zżymała się wprawdzie, krzyczała, groziła, płakała nawet, lecz nadaremnie. Karol pozwalał hałasować i czynił co postanowił. Chciała go porzucić, on iey drzwi otworzył, chciała sobie podwiązką życie odebrać, on chciał się mocnieyszem narzędziem przysłużyć. Nakonieo widząc, że żadne sposoby, wszelkie nawet rodzaie spazmów nie mogą wzruszyć okrutnego męża, pierwszy raz w życiu musiała się do cudzey woli stosować. Tu się poczynały iey nieszczęścia.

Pewien maiętny Hrabia, którego iedynem zatrudnieniem było, uwodzić niewinność i podkopywać budowy szczęscia małżeńskiego maiąc już oddawna zamysły na cnotę Ludwiki, spostrzegł te zatargi małżonków. Wiedział skąd pochodzą i umiał z nich korzystać, biegły w swoiey sztuce, właściwe pochwycił środki. Ubolewał nayprzód nad niedolą Ludwiki, żałował róży która w cieniu więdnieie, porównywał iey dawny stan z teraznieyszym, zwolna rościątrzał iey serce, a wreszcie z pozornie szczerem ucżestnictwem badał ią o przyczyny. Była to właśnie woda na iey koło. Godną Demostenesów wymową opisywała Ludwika okropność położenia swoiego. Zwodziciel zdawał się niepoymować z boleści, a przy wolnem uściśnieniu ręki, uronił łzę dla zatwierdzenia swoiego uczucia. Litość tak uymuiąca ziednała mu iey przychylność. Nie zaniedbywał korzystać z tego wrażenia. Dzielił z nią codziennie iey smutki. Namieniał czasami, co o niéy w mieście rozgłaszaią, iak na nią palcem wskazuią, iak sobie szepcą, że tandytnik trudni się iey toaletą i. t. p. A gdy znowu swoie żale rozwodzić poczęła: O niebal przerywał iey z zapałem, czy podobna! Co za tyran okrutny! Jak mogłaś się Pani tak dalece zapomnieć i łączyć się z żebrakiem, który iey wdzięków zapłacić nie może! Ja, gdybym był szczęśliwym tak piękną, tak dobrą żonę posiadać, nie tylko maiątek, życie samo chętniebym dla niey poswięcił!" Te i tym podobne sposoby skutkowały zupełnie. Słuchała z upodobaniem iego oświadczeń, przyimowała podarunki i spełniała iego żądania. — Nieuszło to mężowi. Widząc iak głęboko upadła, na zawsze się z nią rozłączył. Nie zmartwiła się tem bynaymniey Ludwika i buduiąc na przyrzeczeniach swoiego zwodziciela, cieszyła się nadzieią pomyślney przyszłosci. Pochlebne słówka młudy, miały dla niéy za nadto powabu, ażeby się iem oprzeć mogła. Na nic nie pomna, żyła z nim dogadzaiąc swoim skłonnościom. Któż nie wie, iak trwałe są podobne związki? Z wdziękami utraciła wszystko. Podły rozpustnik nasyciwszy żądze swoie porzucił ią i oddał ślepemu losowi.

Spuszczam zasłonę na dalsze wypadki życia tey nieszczęśliwey kobiety. Pokryta hańbą, w towarzystwie głodu, nędzy i wzgardy, nigdzie nie maiąc schronienia, musiała się tułać i ostatecznemi sposobami życie utrzymywać. Niedawno widziałem ią w łachmanach i wynędzniałą, wyłażącą z pod płóciennego pokrycia bryki, która właśnie do karczmy wieżdżała. — Oto skutki zaniedbanego wychowania! Dziewczyna, z naypięknieyszemi przymiotami, których ukształcenie zabezpieczyć iey mogło nayszczęśliwsze życie, oznaczyła go nędzą i sromotą, i wciągnęła w przepaść nieszczęścia człowieka, któremu talenta i szlachetny charakter do naypięknieyszego losu prawo nadawały. ... i

Wyimki z dzieł Marinera o rodowitych mieszkańcach wysp Tongayskich.

(Ciąg dalszy.)

Po skończoney bitwie chciał Król powrócić się do Pangaimotoo. Mariner

starał się wprawdzie namówić go, aby korzyzystać z owoców zwycięztwa swoiego i uderzył natychmiast na drugą twierdzę któraby niezawodnie w ręce iego wpadła, a nawet cała wyspa strachem przerażona byłaby mu się poddała. Ale Finów nie zdawał się ieszcze bydź doskonałym woiownikiem, albo też może sądził, że maiąc w ręku tak dzielny oręż łatwo i potem wyspę podbić zdoła.

Wyspa Pangaimotoo leży tylko trzy cwierci mili od Tongi, i dzieli się od niey szczególnie długą a wązką ciasniną. Na to mieysce powrócił Finów ze wszystkiemi ludźmi swoimi tym celem, aby pewnego dnia powrócić znowu do Tongi. Skoro wylądowali, usiedli do iedzenia, ponieważ nie pożywali nic, wyiąwszy niektórych co nie mieli wstrętu zabrać do siebie owe korzenie yamsowe i pisangi, które podczas powszechnego pożaru w twierdzy Nioocalofa przy trupach poznachodzili.

Bawili kilka dni na tey wyspie, a tymczasem posłano kilka barek do niezamieszkałey części wyspy Tongi aby przywiezły trzciny do zbudowania na powrót twierdzy Nioocalofa. Stało się to z napomnienia Bogów, których rady w tey mierze przez Kapłanów wzywano; Tym tedy celem wrócił się Finów do twierdzy Nioocalofy. Założono ią nieco innym kształtem, i obszerniey aniżeli była dawnieysza, a ponieważ nad tem niezmierna liczba rąk pracowała, przeto we dwa dni stanęła gotowa, potem zaś otrzymała ieszcze niektóre odmiany. Podczas tey budowy pokaleczyło się kilkanascie ludzi bardzo niebezpiecznie, przez wpadanie do lawozasów i sokiesów, których znaydowało się mnóstwo ze strony lądowey. (Lawozas, są doły 5 stop głębokie a 4 stóp szerokie, w które wbiiaią po kilka spiczastych tyk bambusowych Sokies, są mnieysze doły o iedney tyce, i dosyć obszerne ażeby noga męzka zapadła się do nich. Doły te nakrywaią cienkiemi gałęziami, lisciami pizangowemi i ziemią.) Bardzo im także dokuczał smród z trupów które leżały wszędzie, a których pogrzebanem trudnić się nie chcieli, ponieważ to byli nieprzyiaciele i żaden z nich krewnym ich nie był. Barki powyciągali na ląd, i zrobili około nich mocne ogrodzenia z kiiów. Cztery zaś działa zaprowadzono do twierdzy i przy każdey bramie iedno z nich postawiono.

W kilka dni potem mały ieden oddział, zapusicił się głębiey w kray, i według codziennego zwyczaiu zbierał orzechy kokowe, gdy wtem napadł nań liczniey szy oddział nieprzyiacielski przyczem iednego człowieka zabito, a reszta do twierdzy uciekła. Na to wysłano Marinera z dwomaset ludźmi, ażeby ścigać nieprzyiaciela. Ten spotkany cofał się walcząc, dopóki nie wywabił ich za iedno mieysce, gdzie ukryły był inny oddział nieprzyiacielski, który w okamgnieniu uderzył na nich z tyłu, i około trzydziestu z nich trupem położył. Hapayczykowie zaczęli uciekać, a Mariner z czterema kraiowcami, którzy z osobnym oddziałem nieprzyiacielskim ucierali się, uznał za rzecz potrzebną cofnąc się podobnież. Przechodząc przez wysoką trawę, wpadł Mariner w dół 6 stop głęboki. Cztery iego wierni przyiaciele postanowili wyratować go; trzech z nich broniło mieysca pałkami swoiemi, gdy tymczasem czwarty wyciągnał go z dołu, lecz za to, ieden z owych trzech poległ na placu. Wyratowawszy Marinera z niebezpiecznego położenia iego, a widząc że mnóstwo nieprzyiacioł tuż za nimi było, postanowili bronic się do ostatniego. W tey samey chwili obeyrzał się własny ich oddział, a widząc że waleczni cztery towarzysze iego dotrzymywali mieysca, przyspieszył im na pomoc, i zaczęła się bitwa powszechna, która przez czas nieiaki trwała z zaciętością, ale nakoniec nieprzyiaciel poniósł zupełną klęskę. Podczas bitwy ieden Naczelnik Hapayski w nieiakim oddaleniu od oddziału swoiego spotkał się z Naczelnikiem Tongayskim, w równych okolicznościach; w okamgnieniu stali się pałkami; ale gdy wkrótce ieden z nich rozzbroionym został, drugiemu zaś pałka się złamała, walczyli długo na kułaki. Zmordowawszy się do ostatniego, passowali się ieszcze dopoki obadwa nie upadli na ziemię; Naczelnik Tongański, nie będąc w stanie zadać przeciwnikowi swoiemu inney boleści, gryzł go ze wszystkich sił w palce. Poleżawszy długo w tym stanie, i patrząc się ieden na drugiego pokrzepili się znowu, a każdy z nich za zezwoleniem drugiego, polazł do twierdzy swoiey.

Powracaiąc do Nioocalofy napotykali Hapayczykowie rozmaitych ludzi z oddziału swoiego leżących na drodze, którzy dla ran odniesionych daley iśdź nie mogli. Sami atoli aż nadto byli wysileni, aby ich prowadzić zdołali; musieli przeto zostawić ich na ofiarę dowolności nieprzyiaciela. Tak powrócili do twierdzy w naywyższym stopniu znużeni i zmordowani z pietnastoma ieńcami.

Nazaiutrz niektórzy z młodszych Naczel-

)(

ników, którzy obyczaie Feeieeńskie przyięli, radzili pozabiiać ieńców, żeby nie uciekli, i aby ich potem upiec i spożywać. Ta propozycyia przyięta została od niektórych z gotowością ponieważ ten gatunek pieczeni lubili, od innych zaś, ponieważ iey sprobować chcieli, poczytuiąc to za obyczay męzki i woienny. Mieli oni do tego ieszcze i inną przyczynę, to iest wielki brak żywności; albowiem kilka barek, które do wysp Hapayskich po żywność posłano, niepoiętym iakimsiś sposobem wstrzymane zostały, a osada zagrożoną iuż była niedostatkiem. Prędko więc uwinięto się z kilkoma ieńcami, mięso ich pokraiano w małe kawałki, obmyto w wodzie morskiey, i pozawiiawszy ie w liście pizangowe pieczono pod rozpalonemi kamieniami dwoch zaś czyli trzech ieńców wypatroszono i pieczono ich w całości, iak świnie. Mariner a nie zbierał gust do skosztowania tey pieczeni, chociaż iey zapach nadzwyczaynie był smaczny. Minęło znowu dni kilka, barki z wysp Hapayskich ieszcze nie powracały, a niedostatek owych którzy mięsa ludzkiego pożywać nie chcieli wzmagał się niezmiernie. Mariner nie iadł iuż przez połtrzecia dnia ani odrobiny, gdy przechodził się koło iednego domu w którym coś gotowano. Wszedł tam w nadziei, że dostanie co takowego coby żołądek iego znieść zdołał, chociażby tylko kawałek szczura. Na zapytanie do wiedział się, że troche wieprzowiny dostali, a ieden człowiek ofiarował mu kawał wątroby, którą on pożądliwie przyiął, i iuż do ust chciał włożyć, gdy po uśmiechu owego człowieka domiatkował się, że to była wątroba człowiecza; pokonany wstrętem, rzucił ią w oczy owemu człowiekowi, który rozśmiawszy się tylko, spytał go, czyliby nie lepiey było ieść dobre mięso, aniżeli z głodu umierać?

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

Indyianie Walizyyscy.

(*z Tygodnika Polskiego.*)

Roku 1801 gdym był w Washingtonie, —opowiada Porucznik Angielski Roberts rodem z Prowincyi Wallii — usługiwał w pewney gospodzie chłopiec z tych samych stron, w których ia się urodziłem: — Kazałem sobie przynieść szklankę wody, lecz gdy chłopiec zamiast tego dał mi kieliszek wódki, pogroziłem mu i powiedziałem w żarcie prowincyonalnym Walizyjskim ięzykiem: „Dam ia ci za to“.

Przy mnie siedział ieden z Indyyskich Wodzów, który gdy mnie usłyszał powstał z żywością, wziął mnie za rękę i rzekł: „Czy to iest twoia mowa oyczysta?“ — odpowiedziałem — „To iest także móy ięzyk, moiego ludu i moich rodziców. „Więc iesteśmy współziomkami“ Na to zapytał mnie Indyianin zkąd iestem rodem? „Z Walii“ — odpowiedziałem — o tey ziemi móy Indyanin nigdy nie słyszał. Wytłumaczyłem mu że Walii a iest prowincyą w Królestwie Angielskim. Znał on Anglików ale nie Waliię. Zapytałem go daley iakie było ustne podanie o pierwszych początkach iego pokolenia. Odpowiedział mi że ich przodkowie z dalekiego zachodu pochodzą i że przez ocean przepłynęli. Rozmawiał ze mną po Walizyisku iak naypłynniey. Czystość początkowey mowy to naypewniey u nich utrzymuie, iż prawem zakazane iest uczenie dzieci obcych ięzyków przed dwunastem rokiem. — Pytałem go czyby nie chciał być w Walii. „Nie! nigdy — zawołał — wolę w chatce żyć między swoiemi, niż gdzie indziey w naypysznieyszym pałacu.

Zdziwiłem się mocno słysząc dzikiego człowieka różnemi kolorami pomalowanego ze strusiemi piórami na głowie, mówiącego dawnym ięzykiem Bretonów, tak płynnie iak gdyby się urodził w okolicy Snowdon. Pokolenie iego mieszka o 800 mil ku południowi od Filadelfii. Zowie się zwyczaynie Askuwas albo Askuowas. Ten Indyanin z wielkim upodobaniem ze mną przestawał. Rozmawiał ze mną o swoich współziomkach, chodził do lasu i uczył się poznawać lekarskie rośliny.

Kray tych Indyianów leży na prawem brzegu Missury idąc od południa. Na nowych Jeograficznych kartach zowią ich białymi Padnkas, na dawnych Mołakantes, czyli ucywilizowanemi Indyianami.

Przeistoczenie.

(*z francuzkiego.*)

Dziwisz się moia Pani tem, że gąsienica,
Choć w brzydkiey szacie stworzona,
W motyla przeistoczona
Zaletną się okrasą i składem zaszczyca!
Mnie się to naymniey dziwnem nie wydaie:
Wszak z was nie iedna, kiedy z łóżka wstaie,
Podobna gąsienicy, a wnet iedną chwilą
W pstrego przy toalecie zmienia ią motylą.

. . . i